

Roger Dee

Ryzyko handlowe

(Traders Risk)

Galaxy Science Fiction, February 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "Traders Risk" by Roger Dee (Roger D. Aycock), published by Project Gutenberg, October 20, 2007 [EBook #23103]

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Galaxy February 1958. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Zatrzymanie tego ładunku, oznaczało śmierć -- wyrzucić go za burtę oznaczało stać się wyrzutkiem społeczeństwa świata!

Ciriimiański statek przechodził w hiperprzestrzeni przez klasyczny układ potrójny, w tym przypadku złożony z płonącej gwałtownie białej gwiazdy, krążącej wokół niej słabszej towarzyszki i pojedynczej planety, zawieszanej dokładnie w punkcie równowagi. I właśnie wtedy, w ładowni na okazy, wyrwał się ze swojej klatki canthoriański Zid.

Spośród społecznego kwartetu statku, w chwili kiedy się to wydarzyło, Chafi Jeden i Dwa spali, pogrążeni w rzewnych marzeniach sennych, o stożkowatych ciriimiańskich miastach, strzelających ostrymi wierzchołkami w niebo, o łagodnym, śliwkowym kolorze. Zid wpadł ze wściekłym impetem do ich społecznej komórki odpoczynkowej, zrzucił ich z balansowanych grzęd sypialnych i z żądzą krwi, typową dla tego gatunku, pożarł ich, zanim zdążyli się obudzić w dostatecznym stopniu, aby teleportować się w bezpieczne miejsce.

Chafi Trzy i Cztery, mieli wtedy wachtę psi, w dziobowym przedziale sterówki, i zginęliby równie szybko jak tamci, gdyby na czas nie ostrzegły ich mentalne krzyki ich towarzyszy. Dzięki nim, i tak ledwie zdążyli teleportować się do ładowni rufowej, aby znaleźć się jak najdalej od bezpośredniego zagrożenia, i zastanowić się nad całą tą sprawą, w czasie gdy Zid buszował po całym statku, usiłując ich znaleźć, wydając z siebie złośliwe wrzaski i zgrzytając głośno pazurami o metalową podłogę.

Ich sytuacja była jeszcze bardziej rozpaczliwa, niż by się to mogło wydawać, ponieważ Chafi byli z zawodu przewoźnikami i mieli niewielkie doświadczenie w zakresie tego rodzaju zagrożeń. Transport Zidów z canthoriańskich dżungli do ciriimiańskich ogrodów zoologicznych, był dosyć prozaicznym zadaniem, przynajmniej dopóki wytrzymała klatka. Teraz jednak mieli na karku rozwścieczone zwierzę, które szybko ich wywęszy, zaś byli zupełnie bezradni, jeśli chodzi o kwestię schwytania go i ponownego zamknięcia.

Kiedy Zid ich znalazł, nie mieli innego wyjścia, jak tylko teleportować się z powrotem do przedziału sterówki i czekać, dopóki bestia znowu ich tam nie wywęcha. Zid szybko się uczył. Tak szybko, że wkrótce stało się jasne, iż jego siła fizyczna daje mu znaczną przewagę nad ich znacznymi, ale jednak ograniczonymi zdolnościami telekinetycznymi.

Nadal jednak posiadali swój potencjał ciriimiańskiej zdolności logicznego myślenia i dosyć szybko wpadli na jedyny praktyczny sposób

rozwiązania problemu -- pozbyć się Zida na najbliższej planecie, która w ewidentny sposób pozbawiona będzie inteligentnych istot żywych.

Pracowali pośpiesznie, pomiędzy kolejnymi skokami na dziób i na rufę. Kiedy byli w przedziale sterówki, Chafi Trzy wyrzucił statek z hiperprzestrzeni w niewielkiej odległości od jedynej planety, obu sąsiadujących gwiazd. Chafi Cztery, przy następnym skoku, szybko przejrzał mapy statku, zapoznając się z układem, przez który podróżowali.

Mieli szczęście. Układ został skatalogowany cztery ciriimiańskie pokolenia temu i oznaczony: *Planeta nierozwinięta. Wyłącznie ospałe morskie istoty inteligentne.*

Odkrycie to przyniosło im potężną ulgę, ponieważ żaden Ciriimianin, nawet dla uratowania swojej upierzonej skóry, nie umieściłby takiego potwora jak Zid, pośród rozumnych i wrażliwych na jego ataki, istot.

Planeta była w znacznej większości pokryta wodą, pozbawiona dużych kontynentów i tylko z rzadka usiana niewielkimi archipelagami. Wyspy doskonale pasowały do celów Chafi.

– Zid nie potrafi pływać – wypromieniował Chafi Cztery. – Jeżeli go tutaj porzucimy, nie będzie w stanie skrzywdzić morskich istot inteligentnych.

– A ponadto – wskazał Chafi Trzy, kiedy uskoczyli ponownie do przedziału sterówki, tuż przed zaślinionym pyskiem Zida, – zawsze możemy tutaj wrócić z canthoriańską grupą łowiecką i odzyskać naszą inwestycję.

Zamykając swoje zmysły przed rozpraszaćcymi ich wściekłymi wrzaskami Zida, z idealną koordynacją, przystąpili do pracy.

Chafi Trzy posadził statek na wyspie, będącej tylko ogniwem z niewielkiego łańcuszka podobnych wysp. Chafi Cztery, przeteleportował się najpierw do wjazdu, a potem, kiedy Zid zaszarżował na niego, przeskoczył na wystrzyżoną przez roślinożerców murawę, otaczającego ich od zewnątrz tropikalnego środowiska.

Zid wygramolił się ze statku. Chafi Cztery teleportował się z powrotem do środka. Chafi Trzy zamknął za nim wjazd. Wspólnie opuścili swoje osłony zmysłowe, oddychając z ulgą...

W konsternacji, jaka ich w tej chwili ogarnęła, nie zdali sobie nawet sprawy z tego, że popełnili barbarzyński lapsus wokalizacji. Kiedy bowiem uświadomili sobie rozmiary popełnionego właśnie błędu, z wrażenia aż zaćwierkali na głos.

Przez odległe ciche poszepty funkcjonowania mózgów spodziewanych tutaj stworzeń morskich, przebijał się coraz bardziej, nieskoordynowany mętlik myśli co najmniej dwóch, silnych i stosunkowo złożonych istot inteligentnych.

– Oddychają gazami! – z niedowierzaniem zawołał telepatycznie Chafi Cztery. – To ciepłokrwiste ssaki lądowe!

– Cywilizacja klasy Piątej – zgodził się z nim wstrząśnięty Chafi Trzy. Jego aura drżała na skutek wstrząsu wywołanego tym niesłychanym faktem. – W katalogu był *błąd*.

Ironicznie, ich problem stał się teraz jeszcze bardziej palący, niż był wcześniej. Jeżeli nie zostanie rozwiązany, Zid w mgnieniu oka wyludni wyspę -- zaś aby go rozwiązać, musieli złamać podstawową regułę galaktycznego protokołu i poprosić o pomoc nowy i nieprzebadany jeszcze gatunek.

Nie mieli jednak wyboru. Teleportowali się więc natychmiast do miejsca, w którym przebywali dwaj znajdujący się w pobliżu tubylcy -- spotykając się z frustracją przekraczającą ciriimiańskie doświadczenia.

Jeff Aubray zobaczył lądowanie ciriimiańskiego statku, ponieważ dzisiaj był jednodzień, a w trakcie jednodni, jego misja na wyspie, wymagała, aby zrywał się na nogi jeszcze przed świtem.

Były po temu dwa powody: W jednodni, dzięki jakiemuś niezawodnemu cudowi calaxiańskiej sztuki żeglarskiej, stary Charlie Mack przyplątał swoją antyczną *Królową Wyspy*, przywożąc z miasteczka reprezentującego terrańską cywilizację kolonialną na Archipelagu Procyniańskim 147, zapasy oraz plotki, pozwalające przeżyć Jeffowi kolejny dziesięciodzień. *Królowa* przybiła do niewielkiego pomostu Jeffa, o świcie. Jeszcze nigdy się nie spóźniła.

Ponadto, w jednodni, koniecznie jeszcze przed wizytą Charliego Macka, Jeff musiał poskładać swój przeschumlowany komunikator -- przechowywany w częściach i ukryty przed podejrzliwymi oczyma miejscowych -- i złożyć Konsulatowi Interesów Ziemi raport na temat postępów swoich prac, we właśnie zakończonym okresie. Paskudny czas transmisji, naturalnie, wyznaczony był tak, aby odpowiadać godzinie zakończenia urzędowania terenowego biura Konsula, położonego po drugiej stronie planety.

Tak więc, opalizujące perłowo wspaniałości wschodu Procjona, właśnie zabarwiły okna domku Jeffa, kiedy dostroił i włączył swój niewielki komunikator, stawiając go na stole do jedzenia. Trzycalowy monitor rozbłysnął wyświetlanym sygnałem i pojawił się na nim skwaszony i rozczarowany konsul Satterfield. Za Satterfieldem, pomniejszony przez wyświetlacz do karłowatych rozmiarów, skrywał się dr Hermann, rezydent zoolog Interesów Ziemi.

– Brak postępów – przekazał Jeff, – poza może tym, że paru wyspiarzy, z którymi się kontaktowałem, w końcu zdaje się mnie akceptować. Jeszcze trochę czasu i być może wprowadzą mnie do Społeczności, w której czegoś będę mógł się dowiedzieć. Jeżeli w Domu...

– Miałeś siedem dziesięciodni – odparł Satterfield. – W Domu nie będą już dłużej czekać, Aubrey. Za bardzo potrzebują tych kryształów uspokajających.

– Czy użyją siły? – Jeff rozważał już tę możliwość, ale jej bezpośredni charakter przerażał go. – Sir, ci koloniści rozwijali się autonomicznie przez

ponad dwieście lat, od czasu kiedy Czwarta Wojna odcięła ich od nas. Czy w Domu chcą pozbawić ich niepodległości?

Poczucie straty, na widok ponurego skinięcia głową przez Satterfielda, wynikało z czegoś znacznie głębszego niż współczucie dla wyspiarzy. Miało ono swoje korzenie w codziennych wędrówkach po niewielkiej wyspie, przydzielonej mu przez Społeczność miasteczka, aby mógł malować, co stanowiło przykrywkę dla jego zadania, i w plotkach starego Charliego Macka oraz paru innych miejscowych, z którymi się spotykał. Zaczął sobie cenić łatwe życie na wyspach, na tyle aby odczuwać zmieszanie tym, co musi się stać pod presją IZ, ze starym Charliem i gromadą opalonych na brązowo rybaków.

Niespodziewanie, ponieważ Jeff nie myślał, że to może mieć jakieś znaczenie, zaczęła prześladować go świadomość, że kiedy rozpocznie się okupacja, nigdy już nie zobaczy Jennifer, rudowłosej siostrzenicy starego Charliego Macka. Jennifer, która żeglowała ze swoim wujkiem i, tak prawdę mówiąc, wykonywała całą marynarską robotę, nie chciałaby go widzieć na oczy.

Pesymizm konsula wstrząsnął Jeffem, momentalnie przywołując go do rzeczywistości.

– Dom odbierze im autonomię, Aubray. Otrzymałem dzisiaj wiadomość przez warp-radio, z rozkazem wkroczenia.

Sytuacja na Ziemi była dosyć rozpaczliwa, Jeff musiał to przyznać. Calaxiańskie kryształy uspokajające, robiły rzeczy, których nie byli w stanie wykonać najbardziej nawet wyrafinowani terrańscy terapeuci. Usuwały lęki u neurotyków i łagodziły szoki nerwowe u nadciśnieniowców -- oba schorzenia występowały u alarmująco dużej większości ludzi, jako efekt wstrząsających następstw Czwartej Wojny -- absolutnie bez żadnych niekorzystnych efektów ubocznych. Trwałe korzyści ich użycia były powolne, lecz kumulowały się z czasem, oferując po raz pierwszy realny krok w kierunku pełnej stabilności. Środowiska medyczne, psychiatryczne i polityczne domagały się z krzykiem kryształów i jeszcze raz kryształów.

– Gdyby wyspiarze ujawnili ich źródło i pozwolili nam rozwinąć ich pozyskiwanie – poskarżył się Satterfield, zrzędlwym tonem, – zamiast wydzielać nam garstkę kryształów, każdego dziesięciodnia, nie byłoby potrzeby podejmowania żadnych tego rodzaju kroków. W Domu uważają, że oni udostępniają nam tylko jakieś niewielkie nadwyżki.

– To mało prawdopodobne – odparł Jeff. – Oni sami, nie używają tych kryształów.

Stary dr Hermann niemal przycisnął swój podbródek do ramienia konsula, aby skaner mógł przekazać obraz jego zasuszonej twarzy.

– Pewnie, że nie używają – powiedział. – Któżby potrzebował kryształów, na takiej nieskomplikowanej, żeby nie powiedzieć prostackiej, planecie jak ta. Ale być może tutejsi obawiają się zalania rynku towarami, albo dominacji zewnętrznego kapitału, który wejdzie tutaj, aby rozwinąć

pozyskiwanie. Kiedy ludzie się staczają, nie ma żadnego sposobu na to, aby powiedzieć, co się dzieje w ich głowach, a my nie mamy czasu do stracenia, na negocjacje z nimi, ani na ich przekonywanie. W każdym razie, w jaki sposób mieliby nas powstrzymać przed wkroczeniem? – Nagle przeskoczył na swoje własne poletko. – Aubray, czy dowiedział się pan czegoś o Scoopach?

– Niczego, poza tym, że wyspiarze o nich nie rozmawiają – odparł Jeff.
– Podczas tych siedmiu cykli, jakie tutaj spędziłem, widziałem może kilkanaście, w pobliżu brzegu. Jeden zazwyczaj pojawia się na powierzchni, koło mojego portu, mniej więcej w czasie kiedy przyplywa łódź z zapasami Charliego Macka.

Myśl o Charlie Macku, zmusiła go do zakończenia raportu.

– Charlie powinien zaraz tu być. Połączę się później.

Przerwał połączenie, śpiesząc się, aby schować swój komunikator przed przybyciem starego Charliego -- nie to, pomyślał sobie gorzko, żeby fakt, że teraz już wiem, robił jakąś większą różnicę.

Wychodząc na wczesny calaxiański świt, przelotnie pochwycił obraz lądującego ciriimiańskiego statku, tuż zanim palmy i drzewiaste paprocie porastającego wyspę lasu, skryły go przed jego wzrokiem. Dom nie blefował, pomyślał, zakładając, że zgodnie z logiką rozwoju wydarzeń, był to zespół uderzeniowy, który rozkazano wysłać Satterfieldowi.

– Nie tracą ani chwili – warknął Jeff. – A niech ich diabli.

Zignorował nieodłączny blask porannej tęczy, który bezpośrednio poprzedzał wschód Procjona, i z irytacją ruszył w stronę swojego miniaturowego pomostu na nabrzeżu. Ciągle jeszcze ponuro rozmyślał o tym, co powinien powiedzieć Charliemu Mackowi, kiedy w zasięgu wzroku pojawiła się *Królowa Wyspy*.

To był całkiem ładny widok. W Jeffie tkwiła dusza artysty, pomimo wielu monotonnych lat, spędzonych na służbie patrolowej IZ. Białe, wydęte żagle na tle ciemnozielonego morza, prześlizgujący się po spokojnej wodzie poznaczonej jaśniejszymi i ciemniejszymi smugami, w miejscach gdzie znajdowały się podwodne ławice piachu, widok ten poruszał w nim jakąś czułą strunę. Jednakże wymuszane przez niego porównania, pomiędzy Calaxią i Ziemią, na której ziejące szeroko blizny po Czwartej Wojnie i dziedzictwo wieków lęków, czyniły wykorzystanie kryształów uspokajających tak rozpaczliwie niezbędnym, wzbudziły w nim udrękę. Calaxia pozostała zupełnie nietknięta, żyjący na niej ludzie nie potrzebowali kryształów, którymi handlowali.

Zaintrygowało go coś dziwnego w ustawieniu żagli *Królowej*, dopóki nie wykrył anomalii. Pomimo znacznej odległości i szybkiego zbliżania starej łodzi rybackiej, mógłby przysiąc, że jej żagle wydymały się nie z wiatrem, ale pod niego.

Jednakże, kiedy *Królowa* dotarła do jego kanału, z pewnością widać było, że żagle zwisły luźno i leniwie załopotały, odwracając się aby chwycić wiatr, i pchnąć jej dziób ostrożnie pomiędzy płycizny. Jeff niecierpliwie

odepchnął od siebie te myśli -- zmiana wiatru, albo jakiś inny przebiegły manewr starego Charliego Macka, pozwalający wykorzystać miejscowe prądy.

Jeff właśnie wszedł na swoje nabrzeże, kiedy to się wydarzyło. Równie materialna jak deski pomostu, stała przed nim sześć-stopowa sowa, prawie że zasłaniając mu zbliżającą się *Królową Wyspy*.

Stwór nie miał skrzydeł i był cały pokryty gładkimi, pastelowo-niebieskimi piórami. Pewnie stał na żółtych stopach o pieczołowicie zadbanych szponach i przyglądał mu się kwadratowymi fioletowymi oczyma.

Mimowolnie zrobił krok w tył, pięta wpadła mu w wypaczoną od słońca deskę, i ciężko klapnął siedzeniem na pomost.

– U licha, ki diabeł! – bezmyślnie oznajmił.

Sowa skrzywiła się i bezgłośnie zniknęła.

Jeff podniósł się, cały rozdygotany, i pokuśtykał do krawędzi pomostu. Kiedy popatrzył na wodę, delikatnie i spokojnie falującą w dole, zaczęło go ogarniać chłodne przekonanie o szaleństwie.

– Tracę zmysły – powiedział na głos.

Na zatoce, właśnie miała miejsce inna katastrofa, równie nieprawdopodobna.

Królowa Wyspy starego Charliego Macka, ostro skręciła w lewą stronę, schodząc z kursu, z ciemniejszej zieleni bezpiecznego kanału, i wpływając na wodę zbyt płytką dla jej zanurzenia. Łódź zboczyła na piaskową łachę, wpadła na nią i zaczęła szorować po dnie, z wypełnionymi przez wiatr żaglami, utrzymującymi jej prędkość.

Scoop, który właśnie wynurzył się tuż za *Królową*, był tak blisko niej, że Jeff zaczął się zastanawiać, czy legendarna dobroduszość tego gatunku, czasami nie była fałszywie przedstawiana. Stwór unosił się na powierzchni, jak błyszcząca wyspa, w śliwkowym kolorze, a jego płaskie płetwy boczne łagodnie falowały w wodzie. Wielkie, wilgotne oczy, były niemal przymknięte z powodu blasku ukośnie padających promieni, nisko wiszącego na niebie, porannego słońca.

Stworzenie było bardziej niż ogromne. Ten potwór musi nieźle ważyć, pomyślał Jeff z oszołomieniem. Tysiące, a może nawet miliony ton.

Wydawało mu się, że już rozumie, dlaczego *Królowa* osiadła na mieliźnie, kiedy zobaczył jak ktoś płynie szybko, w stronę jego nabrzeża. Pewnie stary Charlie wyskoczył z łodzi i zmierza do brzegu, w ucieczce przed Scoopem.

To jednak nie był Charlie. To była Jennifer, siostrzenica Charliego.

Kiedy podpłynęła, Jeff pochwycił jej brązową dłoń, wysuniętą w jego stronę, i wciągnął ją na pomost. Przyglądał się jej, kiedy otrząsała swoje ociekające rude włosy i odzyskiwała oddech. Morska woda przykleiła do ciała Jennifer jej białą bluzkę i długie do kolan robocze spodnie, tak jakby była to jej druga skóra, tak że efekt graniczył ze spektakularnym.

– Widziałeś to? – zaczęła się dopytywać.

Jeff wyteżył wzrok, spoglądając w dal, na Scoopa, który unosił się na zatoce, jak purpurowa wyspa.

– Prawdziwy potwór – stwierdził. – Uciekłaś w samą porę.

Natychmiast na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i zniecierpliwienia.

– Nie Scoopa, ty idioto. Sowę.

Tym razem Jeff popatrzył na nią.

– Sowa? Była tutaj jedna, na pomoście. Ale myślałem...

– Tak samo i ja. – W jej głosie brzmiała ulga. – Jednak skoro ty widziałeś drugą... Nagle, pojawiła się koło mnie na pokładzie, zupełnie znikąd. Straciłam głowę i wpłynęłam *Królową* na mieliznę, a ona zniknęła. To znaczy, chodzi mi o sowę.

– To samo było u mnie – potwierdził Jeff.

Kiedy stali, zdumieni, sowy nagle wróciły.

Chafi Trzy i Cztery byli strasznie wstrząśnięci pierwszą próbą skomunikowania się z tubylcami. W ich ciriimiańskich doświadczeniach, nic nie przygotowało ich do spotkania z istotami inteligentnymi, a jednak tak bardzo nielogicznymi, o indywidualnej percepcji, a w dodatku kompletnie odizolowanymi od siebie nawzajem.

– Komunikacja przez symbole dźwiękowe – stwierdził Chafi Trzy. Zwichrzył pióra we wzdrygnięciu. – Barbarzyńskie!

– Atawistyczne – zgodził się z nim Chafi Cztery. – Oni, być może, są w stanie nawet się nawzajem okłamywać.

Jednak trapiący ich dylemat, pozostawał. Muszą ostrzec tubylców, zanim odnajdzie ich buszujący Zid, w przeciwnym razie wkrótce tubylców już nie będzie.

– Musimy spróbować ponownie – skonkludował Trójka, – znajdując i wykorzystując właściwe symbole wyjaśniające.

– Wokalnie – dodał Chafi Cztery.

Wzdrygnęli się i teleportowali.

Nagły powrót halucynacji -- i to w podwójnej liczbie -- zaskoczył Jima nie bardziej niż fakt, że właśnie trzyma w ramionach, mocno w niego wtuloną, Jennifer Mack. W zadziwiający sposób, istotniejszym problemem dla niego, stała się w tej chwili, nie możliwość zagrożenia ze strony sów, ale to czy powinien zacząć uspokajać Jennifer przed, czy po jej puszczeniu.

Poszedł na kompromis, decydując się jej pozostawić ten wybór.

– One nie mogą być niebezpieczne – wyjąkał. – Na Calaxii nie ma żadnych lądowych drapieżników. Czytałem o tym w...



– Nic *takiego* nie mogło urodzić się na Calaxii – odparła Jennifer. Cofnęła się, puszczając go. – Jeżeli one są prawdziwe, to muszą pochodzić skąd inąd.

Wypływający z tego wniosek, przejechał zimnym paluchem po kręgosłupie Jeffa.

– To może oznaczać inną cywilizację kosmiczną. A przez te wszystkie lata badań nowych planet, nie znaleźliśmy żadnej.

Pewne wspomnienie zmroziło go jeszcze bardziej.

– Kilka minut temu, w głębi lądu, wylądował jakiś statek – powiedział. – Myślałem, że to pojazd konsulatu IZ, ale to musiał być...

Ciriimianie wychwycili w jego myślach obraz lądowania i zadziałali, kiedy tylko pojawił się wspólny grunt.

– Statek był nasz – powiedział Chafi Trzy. Nie wokalizował od swoich dni niemowlęcych i jego nieużywany głos zabrzmiał jak zgrzytliwe krakanie. – Nasz Zid uciekł z klatki i zabił dwóch z nas, zmuszając abyśmy porzucili go tutaj, dla naszego bezpieczeństwa. Niestety, zaufaliśmy twierdzeniom katalogu gwiazdowego, że ta planeta jest niezamieszкана.

Terranie znów przysunęli się do siebie.

– Zid? – powtórzył Jeff.

Chafi Cztery ulżył swojemu towarzyszowi w wysiłku, próbując swojego ochryplego krakania.

– Niebezpieczny canthoriański drapieżnik, grasujący w tej chwili po wyspie, w poszukiwaniu zdobyczy. Musicie nam pomóc ponownie go schwytać.

– Tak więc, w ten sposób możecie go zidentyfikować – pośpieszył z pomocą Chafi Trzy. – Zid wygląda tak.

Z demoniczną nagłością, pojawiła się przed nimi na pomoście, wysłana przez niego projekcja psi Zida, -- przyczajona do skoku bestia, z dwoma bliźniaczymi ogonami, chłuszczącymi na boki, i dziesięciostopową grzywą, z najeżonej szklistej szczeciny, w żółtozielonym kolorze. Miała śmiertelnie niebezpieczną parę dodatkowych kończyn, wyrastających z jej ramion i zakończonych szponiastymi chwytными dłońmi, a jej skośne czerwone oczy płonęły złośliwie z podłużnego, pełnego ostrych jak brzytwa kłów, pyska.

Obraz był zbyt realistyczny, aby to wytrzymać. Jeff zrobił krok w tył, na niespodziewanie niepewnych nogach. Jennifer zemdlą, przewracając się na niego, i ten nieoczekiwany ciężar, spowodował, że razem upadli jak dłudzy na pomost.

– Budujemy na słabiutkich podstawach – stwierdził Chafi Trzy. – Stworzenia, które padają ze strachu, na widok samej projekcji Zida, będą raczej niewielką pomocą w jego ponownym schwytaniu.

Chafi Cztery, niechętnie się z nim zgodził.

– A więc, musimy szukać pomocy, gdzie indziej.

Kiedy Jeff Aubray podniósł się z desek pomostu, zjawy znikły. Trzęsły mu się kolana, a po twarzy spływał zimny pot, ale jakoś udało mu się pociągnąć Jennifer i postawić ją na nogi.

– Lepiej stąd chodźmy, dasz radę? – wrzasnął jej bezlitośnie do ucha.

– Jeżeli takie stworzenie faktycznie buszuje na wyspie, musimy wezwać pomoc!

Jennifer nie zareagowała, więc zaczął klepać ją po policzkach, dopóki oczy dziewczyny nie zatrzepotały gniewnie.

– W domku mam komunikator IZ – powiedział Jeff. – Chodźmy.

Wspomnienie Zida, dodało Jennifer nagłej energii, tak że niemal zostawiła Jeffa w tyle, ruszając nagłym sprintem, do położonego przy plaży domku.

– Drzwi – wysapał ciężko Jeff, kiedy byli już w środku. – Zamknij zasuwę przeciwhuraganową. Pośpiesz się.

Kiedy zabezpieczała liche drzwi, on przekopał się przez swoje rzeczy i ustawił komunikator IZ, na stole do jedzenia. Problem wyjaśnienia, skąd wyspiarze mają swoje kryształki uspokajające, nagle stał się nieistotny. W tej chwili, niczego tak nie pragnął, jak zobaczyć dobrze uzbrojony statek patrolowy, pikujący w dół, z rozjaśnionego calaxiańskim porankiem nieba.

Włączył ekran, kiedy Jennifer w przepięknej, pomimo przemoczonej bluzki i roboczych portek, wściekłości, skoczyła na niego.

– A więc, jednak jesteś szpiegiem Interesów Ziemi – rzuciła oskarżycielsko. – Mówili w Społeczności, że nie jesteś żadnym artystą, ale wujek Charlie i ja...

Jeff wykonał gest odsunięcia.

– Daj mi spokój. Czy chcesz, żeby to diabelstwo rozwalilo całą chatę i nas dopadło?

Uspokoila się, przypominając sobie o Zidzie, a on nawiązał połączenie.

– Tu Aubray, łańcuch 147. Zgłaszam się, konsulat!

Na zewnątrz domku rozległy się odgłosy ukradkowego ruchu i otarł pot z oczu, trzęsącą się ręką.

– IZ, na miłość Boską, mam tu poważne kłopoty!

Na trzycalowym ekranie pojawił się obraz nie konsula Satterfielda, lecz zaskoczonego operatora konsulatu.

– Kłopoty?

Jeff z trudem sklecił kilka kulawych zdań. Operator IZ pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Konsul już skończył na dzisiaj pracę, Aubray. Zobaczę, czy będę w stanie go złapać.

– Miał wysłać statek patrolowy IZ, żeby przejąć władzę na wyspach – zawołał Jeff. – Powiedz mu, żeby się pośpieszył!

Kiedy odkładał mikrofon, wiedział już, że statek przyleci za późno. IZ mogą jeszcze wyciągnąć z wyspiarzy tajemnicę źródła pochodzenia kryształów uspokajających, ale Jeff Aubray i Jennifer Mack nie będą świadkami tego godnego pożalowania tryumfu. Słaby domek nie wytrzyma długo ataków takiej bestii, jaką pokazały im sowy, a pod ręką nie było żadnej broni. Nie mogą nawet uciec.

– Coś jest na zewnątrz – przyciszonym głosem powiedziała Jennifer. Jej słowa jakby wywołały atak.

Zid naparł na wejście z taką siłą, że złamał na pół drewnianą zasuwę przeciw huraganom, a między przednią krawędzią płata drzwi i framugą utworzyła się trzycalowa szczelina. Jeff przez chwilę spoglądał w skośne czerwone oczy i pełen białych zębisk pysk, zanim odbił się, skoczył do przodu i ramieniem zatrzasnął drzwi z powrotem.

– Łóżko – wysapał do Jennifer. – Przysuńmy je.

Złapali łóżko z obu stron i zaklinowali nim drzwi, przyciskając je do framugi. Potem stanęli i popatrzyli na siebie, zupełnie bladzi, czekając na następny atak.

Nadszedł z zupełnie innego kierunku -- od strony szerokich podwójnych okien, które wyglądały na zatokę. Zid, uderzając od dołu, jednym uderzeniem szponiastej, chwytnej łapy, roztrzaskał cienkie ratanowe rolety i popatrzył na nich czerwonymi oczyma.

Czuąc się jakby w sennym koszmarze, Jeff chwycił stojący na stole komunikator i rzucił nim w potwora. Zid złapał go zwinnym ruchem paszczy i zatopił błyszczące kły w urządzeniu, niszcząc je jednym kłapnięciem.

Znajdująca się w środku silna mała bateria, zgnieciona, wyładowała się, ze stłumionymi trzaskami i rozbłyskiem iskier. Zid zawył rozdzierająco i odskoczył od okna.

To dało Jeffowi chwilę czasu, aby sięgnąć do sztormowych okiennic oraz je zamknąć -- i już musieli biec razem z Jennifer do zaimprovizowanej barykady z łóżka, ponieważ Zid natychmiast ponowił swój dziki atak na drzwi.

Aż podskoczył, kiedy Jennifer, chcąc przedrzeć się przez wściekle ryki Zida, wrzasnęła mu prosto do ucha:

– Mój Scoop, powinien już do tej pory zepchnąć *Królową* na głębszą wodę. Czy damy radę do niej dotrzeć?

– Scoop? – Intensywne wrzaski Zida, stłumiły jego ciekawość, zanim jeszcze na dobre się rozpałała. – Nigdy nam się to nie uda. Nie ma szans, abyśmy zdołali prześcignąć tę bestię.

Zid znowu z całej siły rzucił się na drzwi i udało mu się je uchylić na kilka cali, odpychając ich barykadę. Jedna ze szponiastych łap wślizgnęła

się do środka i uderzała złośliwie na ślepo. Jeff uchylił się i naparł całym ciałem na łóżko, na chwilę przytrzymując młóćącą w powietrzu przednią kończynę Zida.

Chafi Trzy wybrał sobie akurat ten moment, aby się ponownie pojawić, powodując, że Jeff niemal odskoczył od łóżka, wpuszczając Zida do środka.

– Sugestia twojej samicy jest słuszna – wykrakał Ciriimianin. – Zid nie potrafi pływać. Czwórka i ja, zaaranżujemy ucieczkę.

Szpony Zida rozpruły deski drzwi, pozostawiając rząd równoległe położonych rozszczepionych szczelin. Zaświeciły w nich przez moment czerwone oczy.

– Cholernie dobrze by było, gdybyście się pośpieszyli – wysapał Jeff. Drzwi, jak oceniał, mogły wytrzymać może jeszcze ze dwie minuty -- a może nawet krócej.

Ciriimianin zniknął. Gdzieś z daleka doleciał odgłos jakby poślizgu, brzmiało to jak osuwające się zbocze górskie, z dodatkiem charczącego chrząkania, które to dźwięki niemal przytłumiły wrzaski Zida. Coś szturchnęło w domek z taką siłą, że prawie poprzewracało ściany.

– *Mój Scoop!* – zawołała Jennifer. Zostawiła barykadę, podbiegła do okna i otworzyła sztormowe okiennice. – Zostaw te drzwi. Tędy, szybko!

Weszła na okno i wyskoczyła. W otępieniu Jeffowi wydawało się, że zawisała tam, jakby w pustym powietrzu, ze stopami zaledwie kilka cali poniżej parapetu. Potem drzwi zadrżały ponownie, pod uderzeniem Zida, zostawił więc łóżko, i podążył za Jennifer.

Wylądował na czymś twardym, ciepłym i śliskim, jakby monstualnym ogonie flądry, ciągnącym się przez całą plażę, aby w końcu połączyć się z płaskim, purpurowym rozległym grzbietem, porośniętym niekończącymi się rzędami płetw i jakichś zagadkowych macek. To był Scoop, widział go, ale tylko na wpół wierzył, że to on. Wczołgał się na płyciznę, wzdłuż pomostu. Rozciągnął się na nieprawdopodobną długość, tak aby mógł trzymać łeb pod wodą, a jednocześnie wysunąć do tyłu grzbiet, by jego gigantyczny ogon pokonał sto kilkadziesiąt jardów, wznoszącej się lekko do góry plaży, od linii fal do domku.

Tuż przed nim, Jennifer przywarła do wystającej płetwy grzbietowej i złapała się jej oburącz.

– Trzymaj się! Ruszamy...

Scoop skurczył się z szybkością, która jednym szarpnięciem przeniosła ich o kilka jardów od domku i prawie zrzuciła Jeffa z ogona. Za linią załamujących się fal, płytka woda kipiała białymi rozbryzgami, w miejscu gdzie Scoop walczył o przyczepność, aby ściągnąć na głębinę, swoją olbrzymią, leżącą na dnie masę.

W pewnej chwili Jeff obejrzał się za plecy i zobaczył, że Zid zbliża się do nich i odbija się w górę, skacząc na znajdujący się przed nim ogon. Przez chwilę był już pewien, że następny skok bestii skończy się rozdarciem go na strzępy, ale w tej samej chwili Scoop stwierdził, że woda

jest dostatecznie głęboka, aby ruszyć na poważnie. Zid mógł tylko opaść na wszystkie sześć szponiastych łap i mocno się trzymać.

Sto kilkadziesiąt jardów od domku do morza, mignęło im tylko w oczach, rozmywając się z powodu szybkości. Scoop dotarł do głębszej wody i zanurzył się, wywołując ogromną falę, która rzuciła *Królową Wyspy*, przechylając ją i niemal posyłając na dno.

Jeff błyskawicznie wyleciał ze swojego miejsca i poszedł pod wodę jak kamień.

Wypłynął na powierzchnię, plując wodą i usiłując zaczerpnąć powietrza, w niebezpiecznej odległości około dwudziestu stóp od Zida. Zid, który znalazł się w kompletnie obcym żywiole, paskudnie skrzeczał i młócił wodę, a jego cała wcześniejsza dzikość zniknęła w obliczu bliskiej i zupełnie mu nieznanemu groźby utonięcia. Jeff ponownie zanurkował, obrócił się i rozpaczliwie próbował zwiększyć odległość między nimi.

Znowu wypłynął, niemal bez tchu, aby zorientować się, że albo on, albo Zid, zmniejszyli odległość między sobą do połowy. Znaleźli się już niemal oko w oko, kiedy Jennifer złapała go i odholowała w stronę oferującej niepewne bezpieczeństwo *Królowej Wyspy*.

Chafi Trzy i Cztery pojawili się znikąd i stali poważnie, przyglądając się słabnącemu Zidowi, który w końcu zanurzył się pod wodę, wypuszczając ostatnią stróżkę bąbelków powietrza.

– Musimy skorzystać z pomocy twojego przyjaciela – powiedział wtedy Chafi Trzy do Jennifer, – żeby odzyskać naszą inwestycję.

Jeff odwrócił się w jego stronę, z niedowierzaniem.

– *Ja* mam tam zanurkować, za tym potworem? Nie ma...

– Jemu chodzi o Scoopa – wyjaśniła Jennifer. – To oni sprowadzili go na brzeg, aby pomógł nam wydostać się z domku. Dlaczego nie mielibyśmy pomóc teraz im?

Scoop wychynął z wody tak delikatnie, że *Królowa Wyspy* ledwie się leciutko zakołysała. Wymachiwał luźno zwisającym ciałem Zida, trzymając go w swoich wielkich mięsistych wargach, jak przytopionego kociaka.

– Tutaj – powiedziała mu Jennifer.

Scoop przełożył swoją potężną głowę nad barierką *Królowej* i upuścił pozbawione świadomości ciało na pokład. Zid lekko się poruszył i wykaszłał z pyska pianę i wodę.

Jeff cofnął się ostrożnie.

– Do licha, czy wszyscy musimy się znów w to pakować? Jak tylko odzyska oddech...

Tym razem przerwał mu Chafi Trzy.

– Teraz kryształ. Musimy go użyć do uspokajania Zida, dopóki nie zostanie ponownie bezpiecznie zamknięty w klatce.

Jennifer nagle zrobiła się bardzo stanowcza.

– Nie. Nie pozwolę, aby ten informator IZ tego się dowiedział.

Ciriimianie byli jednak jeszcze bardziej stanowczy.

– Teraz, to już nie będzie miało znaczenia. Porozumienie Galaktyczne rozciągnie swoją pomoc, zarówno na Terrę, jak i na Calaxię, dostarczając substytutów kryształów, którymi handlujecie. Obie strony nie poniosą żadnej straty.

– Żadnej straty? – Jennifer z oburzeniem powtórzyła jego ostatnie słowa. – Ale przecież nie będzie popytu na nasze kryształy! Utracimy wszystko, co do tej pory zyskaliśmy!

– Ależ skąd – zapewnił ją Chafi Trzy. – Galaktyka zaoferuje odpowiednie rzeczy na wymianę, tak samo jak i rozwiązanie problemów Terry.

Scoop, wyczuwając poddanie się Jennifer, podsunął swoje ogromne cielsko bliżej i otworzył paszczę, ustawiając pół akra swojej dolnej szczęki, równo z pokładem *Królowej Wyspy*. Jennifer bez wahania przeszła przez barierkę i znikła w ziejącej za nią, różowawej grocie.

Przerażony, Jeff pośpieszył za nią.

– Jennifer! Czy ty postradałaś zmysły?

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa – zapewnił go Chafi Trzy. – Scoopy to życzliwe oraz inteligentne stworzenia, które już dawno temu zawarły robocze, porozumienie z wyspiarzami. Ten osobnik wytworzył kryształ i musi być gotów, żeby się go pozbyć, inaczej nie związałby się z odpowiadającym mu człowiekiem.

Jeff zapytał, oszołomiony:

– Scoopy wytwarzają kryształy?

– Z tyłu, za mięsistą naroślą w ich gardłach, odpowiadającą waszym migdałkom, znajduje się wgłębienie, wytwarzające kryształ, na podobnej zasadzie, jak wasza terrańska ostryga, produkuje perłę. Drażni on Scoopy, przeszkadzając im w ich medytacjach -- są gatunkiem bardzo rozwiniętym pod względem filozoficznym, chociaż mało zaawansowanym mechanicznie -- i w ten sposób, popycha je do czasowej wymiany swojej siły fizycznej, w zamian za uwolnienie od niego.

Jennifer pojawiła się z powrotem, z kryształem wielkości orzecha w dłoni, i przeskoczyła przez barierkę.

– I tak odchodzi kolejny Scoop – stwierdziła zrezygnowana. – Królowa będzie musiała chwilowo żeglować na wietrze, dopóki nie pojawi się jakiś inny.

– A więc, to dlatego twoje żagle wydymały się do tyłu, kiedy wchodziłaś do przystani – zrozumiał Jeff. – To stworzenie cię *holowało*.

Smuga spalin, która pojawiła się wysoko na niebie, pikując w ich kierunku, prosto z porannej tęczy, zmieniła kierunek jego myśli.

– To musi być Satterfield i jego zespół uderzeniowy – powiedział Jeff do obu Chafi. – Mam nadzieję, że sami zajmiecie się dyskusjami na temat wygryzienia Terry z handlu kryształami.

Uroczyście go o tym zapewnili.

– Terra, tak naprawdę, nie potrzebuje tych kryształów. Możemy zaoferować sprawdzony program genetyczny, który w ciągu kilku pokoleń

wyeliminuje lęki waszej rasy i dostarczymy sprzęt do terapii neurologicznej -- oczywiście, na zasadach handlowych -- służący , w trakcie okresu przejściowego, do tych samych celów, co kryształ.

Gdzieś tutaj, musiał tkwić jakiś haczyk, Jeff to czuł, ale nie potrafił niczego dostrzec. Poddął się i przestał go szukać, kiedy zobaczył, że Jennifer przygląda mu się z nietypową dla niej niepewnością.

- Pewnie ucieszysz się, z powrotu do swojej pracy w patrolu - stwierdziła. Jej słowa zabrzmiały dziwnie zapraszająco.

W jakiś sposób, przewidywalna monotonia pracy w konsulacie, nigdy wcześniej nie wydawała mu się bardziej odpychająca. Perspektywa zakończenia wyprawy na Calaxię oraz powrotu na rozedrganą i na wpół jałową Ziemię, jeszcze mniej przemawiała do Jeffa.

- Nie - oznajmił. - Chętnie bym tutaj został.

- Ale tu nie ma nic do roboty, poza łowieniem ryb i kręceniem się po morzu w poszukiwaniu Scoopów, gotowych do pozbycia się swoich kryształów - przypomniała mu Jennifer. - Chociaż, wujek Charlie coś mówił, o osiedleniu się w miasteczku i starcie w wyborach do Rady. Jeffie Aubrey, czy potrafisz łowić ryby i żeglować?

Rakieta z konsulatu wylądowała na brzegu, ale Jeff ją zignorował.

- Myślę, że mogę się tego nauczyć - powiedział.

KONIEC